NR. 9 CZWARTEK, 1 MAJA 1930 R. ROK IV

PRZYJACIEL DZIECI

DODATEK DO ROBOTNIKA

Pod Redakcją Robotniczego Tow. Przyjaciół Dzieci



PIERWSZY MAJ

Skowroneczku, witaj nam!...
Mniej snać wiosna luba tam...
Wracasz w mig w ten własny próg,
Choć tu głodno — znikł już bróg!...

***

Skowroneczku, śpiewem dzwoń —
W nieb przestworza śmiało toń!...
Słucham twoich słodkich drżeń
Wśród jutrzennych znojów, mgnień...

***

Hej, słoneczko silnie świeć —
rozpromienień zdroje niec!...
Dzisiaj, jutro — z dnia na dzień
Gromem wzywaj: „szatki zmień!".

***

Hej, słoneczko, ostrzej grzej —
Wszędy uśmiech — radość lej!...
W odmęt krzywd, w pleśń, śnieć i mrok
braterstw czystych skieruj krok!...

Z tobą schodzi hardy Maj —
w dłoń Czerwony Sztandar daj;
Z nim się sprężym w ładu dal —
bez krzty męki, bez łzy fal!...

***

W zmudnych prac podążym szlak —
Wiernych rączek wkrąg nie brak:
Póki w życiu łez łka ból —
Do niezłomnych serc go tul!...

***

Sztandar!! Wkroczył pierwszy Maj!...
Ogniem życia w duszy graj!...
Buntem zwichrzym cały świat —
bo człek każdy — to nas zbrat!...

***

I w czerwony wrośniem śpiew
I w odrodzeń — śmiały wiew
I w braterskich — stosy skrzeń
I w mocarność — ducha drżeń!...

***

Hej, słoneczko, graj nam, dzwoń!...
Hej, dziecino: prędzej dłoń!...
Z hartu skowan pierwszy Maj —
Życie w to zwycięstwo daj!...

Jadwiga Cichińska - Lewicka.

ŚWIĘTO MAJOWE

Od niepamiętnych czasów wszystkie narody czczą świętem rocznice ważniejszych wydarzeń dziejowych, szczególniej tych, których pamięć pragnęłyby przekazać nowym pokoleniom.

Dzień 1-go Maja jest Świętem Pracy!

Gdziekolwiek na ziemi zbudziło się życie, tam momentalnie musiał zjawić się wysiłek do podtrzymania go, to jest praca.

Gdy ludzie żyli w stanie pierwotnym każdy osobnik, który chciał żyć, musiał pracować; dopiero w miarę nagromadzenia bogactw, znikała pierwotna równość i jednostki posiadające kapitał, t. j. materjał i narzędzia pracy, wynajmowały tych, którzy nie posiadali nic poza siłą swych muskułów.

Więc robotnik wznosił piękne pałace, zakładał ogrody i wykonywał różne zbytkowne sprzęty, sam zaś gnieździł się z rodziną w dusznej, ciasnej izbie. Młoda pracownica dnie całe spędzała pochylona haftując dla wybranek losu pajęcze materje, znosząc często głód i zimno.

Niesprawiedliwość ta mocno bolała pokrzywdzonych i wywoływała częste protesty; lecz prawie zawsze silniejsi brali górę, a pracownik jeszcze bardziej ciemiężony dla zdobycia codziennego kawałka chleba, powracał do pracy. Długą i bolesną trzebaby przytoczyć listę bohaterów, walczących za wyzwolenie ludu roboczego.

Aż wreszcie dążenia i prawa robotnika znalazły swój wyraz w socjalizmie, którego pierwszym krzewicielem był Karol Marx.

Socjalizm rzucił hasła wolności, równości i braterstwa.

Socjalizm wskazał ludziom potęgę pracy i potęgę ludu roboczego, który tworzy wszystko to, co tylko jest dziełem ludzkiem.

Ponieważ praca jest pierwszym czynnikiem życia, więc wszędzie, gdzie istnieje życie, dotarł socjalizm i ogarnął szerokie masy robotnicze, ucząc je jak trzeba zdobywać i bronić swoje prawa.

Rozumiejąc, że tylko wspólny wysiłek dać może zwycięstwo, robotnicy poszczególnych krajów zaczęli porozumiewać się i łączyć z sobą.

W roku 1889 na zjeździe w Paryżu postanowiono świętować dzień 1-go Maja, jako symbol łączności robotniczej. Święto to jest również dowodem potęgi ludu roboczego: bo oto z jego władnej woli zatrzymują się fabryki, pustoszeją kopalnie i warsztaty, przerwwa się praca i nagle staje samo życie.

Staje i tylko wola robotników dalej pchnąć je jest zdolna. Na nic nagromadzone bogactwa, gdy ręce robotników odmówią swej pracy — na niej bowiem opiera się byt świata całego.

Więc i wy, dzieci, przyjmijcie szeroki udział w dniu Święta Pracy. Zanim zajmiecie swoje miejsce w wielkiej armji ludu pracującego, szanujcie pracę tych, którzy trudem swym torują wam lepszą przyszłość, i, zaprawiając się do przyszłych waszych wielkich zadań, spełniajcie sumiennie i radośnie wasze dziecięce obowiązki, które tymczasem nakłada na was rodzina, szkoła i społeczeństwo.



AVANTI.

WŁADEK

Władek stał przed bramą kamienicy, w której ojciec jego był dozorcą i z ciekawością patrzył na tłum, wypełniający chodniki i jezdnię.

Manifestanci szli spokojnie i tylko skupione, zacięte twarze o oczach, zawierających całą otchłań cierpienia i smutku, świadczyły, że bynajmniej pokojowo usposobieni nie byli.

Zrównawszy się ze stojącym chłopcem, tłum zakołysał się, zachwiał i nagle olbrzymie czerwone sztandary uniosły się nad morzem głów ludzkich i dumnie rozpostarły swe potężne skrzydła.

Chwiały się, drgały... Wiosenny wiatr igrał z nimi i zdawało się, że uniesie je hen, wysoko, jako zbiorowy protest męczonej ludzkości.

„Precz z caratem!" — czytał Władek na jednym.

„Niech żyje 1-szy Maj!". „Wolność, równość, braterstwo!" — głosiły inne.

Władek patrzył olśniony, a wyczytane na sztandarach hasła uderzyły go w

samo serce. W jednej bowiem chwili zrozumiał, że idący ulicą ludzie myślą i czują to, co nieustannie nurtowało jego przedwcześnie dojrzałą duszę. Carat, najeźdźca, ciemiężyciel, to przecież ten znienawidzony stójkowy, który co chwila zjawiał się u ojca, żądając najczęściej wypełnienia czynności nie dozorcy domowego, lecz raczej żandarma czy szpicla.

Rozporządzenia te wydawane były głosem suchym i tak nie znoszącym najmniejszego sprzeciwu, że ojciec tylko głowę opuszczał i milczał, by uniknąć obelżywych, ordynarnych wybuchów gniewu sługi carskiego.

A przecież pomimo tej bierności, kiedyś, gdy ojciec wypuścił ukrywającego się na schodach studenta, stójkowy podniósł na niego rękę i... uderzył! Działo się to w obecności Władka, który całą duszą zaczął nienawidzieć wrogich, okrutnych przybyszów, pragnących zabić i zgnębić każdy odruch protestu i chęć zerwania kajdan.

A równość? A braterstwo? Czyż wolno nawet marzyć o tem? Wychowany w maleńkiej izdebce pod schodami, gdzie prócz rodziców mieszkało jeszcze troje młodszego małżeństwa, Władek godzinami całemi przemyśliwał nad losem swym i jemu podobnych, a nie mogąc rozwiązać dławiącej go zagadki, tylko pięści zaciskał i cierpiał, nie wiedząc, jak dojść do źródła prawdy.

Próbował kilkakrotnie zasięgnąć wyjaśnień od rodziców, lecz ojciec wtedy tylko jeszcze niżej pochylał głowę i radził synowi, by odpędzał od siebie myśli o rzeczach, na które nic pomóc nie można, a które w czyn wprowadzane, grożą więzieniem.

Matka, stojąc przy balji, z której unosiła się przykra woń mydlin i rozgotowanej bielizny, rozmawiała chętniej i czasem opowiadała historję powstania, którą słyszała od swych rodziców.



A tu niespodziewanie przed oczami zapatrzonego chłopca powiewały krwawe symbole męki, rzucając otwarcie wyzwanie do walki z istniejącym porządkiem.

Porwany hasłami, unoszącemi się nad głowami, tłum jednym potężnym, zgodnym akordem wyrzucił ze swych znękanych piersi słowa pieśni, mającej prowadzić do zwycięstwa.

„Nasz sztandar płynie ponad trony"...

Władkowi pociemniało w oczach, zakręciło się w głowie i pomimo rozkazu ojca, by pilnował bramy i nie wpuszczał nikogo, prócz znanych mu lokatorów, ruszył przed siebie i zmięszał się z tłumem.

Pieśń płynęła dalej, coraz głośniejsza, coraz potężniejsza, obijała się o szare mury kamienic i władcza płynęła ku górze, jako zapowiedź lepszego jutra.

„My wspólnie będziem pracowali
I wspólny będzie pracy plon"...

Trwało to krótko: jeszcze nie przebrzmiało echo pieśni, gdy z poprzecznych ulic wysuwać się zaczęły oddziały policji konnej i kozaków i ruszyły prosto w tłum manifestantów.

Rozległy się krzyki, nawoływania, klątwy; słychać było odgłosy kopyt końskich i ostry świst kozackich nahajek, które gęsto spadały na głowy i plecy najbliżej stojących.

Zniknęły sztandary, zamilkła pieśń i zdziesiątkowany tłum małemi grupami, pod opieką kozaków, został skierowany do różnych punktów posterunków policyjnych.

Władek znalazł się wśród kilkunastu młodych ludzi, z których większość miała studenckie czapki z niebieskiemi lampasami.

Sprawdzano dokumenty, część aresztowanych wypuszczono, część zatrzymano do dalszego śledztwa.

Gdy kolej doszła do Władka, żandarm, zamiast zapytać go o nazwisko i o papiery, krzyknął, dając mu potężnego szturchańca w plecy:

— Ruszaj do domu, szczeniaku, a na drugi raz nie kręć się po ulicach i nie właź pomiędzy buntowszczyków.

Powoli, z nisko opuszczoną głową wracał Władek do domu. Ostatnie zbyt niespodziewane przeżycia wstrząsnęły do głębi jego wrażliwą duszą i wycisnęły swe piętno na dalszem jego istnieniu.

Od tego pamiętnego dnia 1-go Maja wszystkie myśli i pragnienia chłopca skupiły się jedynie w dążeniu do poznania ludzi, których hasła niosły czerwone sztandary.

Los i przypadek pozwoliły mu wkrótce spełnić te gorące pragnienia: w kamienicy, w której mieszkał, na czwartaku znajdowały się kawalerskie pokoje, zajmowane przeważnie przez słuchaczy wyższych uczelni.

Usłużny i inteligentny Władek bardzo prędko stał się częstym gościem studentów.

To i owo wpadło mu w uszy i zwróciło jego baczną uwagę. Młodzi ludzie początkowo byli dość ostrożni i krępowali się obecnością Władka; wkrótce jednak zdobył zupełnie ich zaufanie, wtajemniczyli go w różne tajniki organizacji i często korzystali z jego pomocy w wykonaniu poleceń, które spełniał zawsze doskonale i chętnie.

Zaczęło się dla Władka nowe życie. Wstawał bardzo rano, dokładnie spełniał swe obowiązki pomocnika ojca, a każdą wolną chwilę spędzał na czwartaku.

Czytał dużo i w długich rozmowach ze swymi przyjaciółmi dopełniał wiadomości, zaczerpnięte z książek.

Czas biegł. Pozornie wszystko szło dawnym, utartym trybem, tylko w duszy Władka dojrzewały wielkie hasła, proprowadzące do ideału nowego społeczeństwa, opartego na wolności, równości i braterstwie.

A tymczasem nad Warszawą gromadziły się coraz czarniejsze, coraz gęstsze chmury prześladowań. Co noc w róż-

nych punktach miasta odbywały się liczne rewizje i masowe aresztowania.

Pewnej nocy żandarmi przetrząsnęli cały czwartak i uprowadzili kilku studentów, a pomiędzy nimi medyka, przyjaciela i nauczyciela Władka.

Cios ten głęboko dotknął chłopca. Gdy brama zamknęła się za odchodzącymi Władek z głową ukrytą w dłoniach długo i rzewnie płakał. Od tego dnia stał się małomówny, zacięty w sobie i jakiś inny. Wychudł, zczerniał, tylko oczy płonęły mu dziwnym, gorączkowym blaskiem.

W odpowiedzi na represje rewolucjoniści organizowali swe szeregi i raz wraz śmiałym, szalonym czynem okazywali siłą swą i zaciętość.

Ofiarność rosła, lecz prześladowania ciągle przerzedzały szeregi walczących za wolność bojowników.

Pomimo swego młodego wieku Władek należał od organizacji i marzył o tem, by móc czynem wykazać to, co działo się w jego duszy

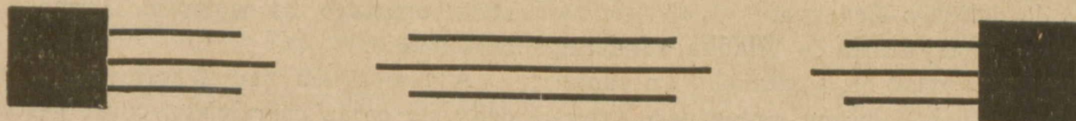
Jakoż wkrótce nadarzyła się ku temu sposobność: należało zawieźć na prowincję stosy socjalistycznych wydawnictw, związanych ze Świętem Pracy, dniem 1-go Maja.

Władek niepozorny, mały, nędzny, obarczony dwoma koszykami, które miały zawierać jego manatki ruszył w świat nieść braciom swym hasła nowego życia, opartego na równości, wolności i braterstwie.



Podobno w kilka tygodni potem na jednej z małych stacyjek został aresztowany i przewieziony do najbliższego więzienia.

Niewiadomo co się dalej z nim stało. Drobna postać jego zginęła w legjonie bezimiennych bohaterów walczącego za wolność proletarjatu.



CZYJA JEST SZKOŁA

— Józiu, znów przyniosłeś scyzoryk i rzniesz ławkę? Przecież wiesz o tem, że wolno nam mieć w klasie tylko temperówki. Jak Pani cię zobaczy, porządną oberwiesz burę.

— Co ci do tego — mruknął niechętnie Józik, nie przerywając swego niszczycielskiego zajęcia — nie rozumiem o co właściwie Pani miałaby krzyczeć na mnie; czy to jej szkoła, czy to ona będzie musiała odkupić zniszczone sprzęty?

Kolega nie nalegał więcej, a Józik, wyrzynając na pulpicie różne proste i krzywe linje, myślał:

— Że w domu nie pozwalają mi rznąć mebli scyzorykiem, to ostatecznie jest słuszne, bo gdy coś się zniszczy, tatuś musi kupić nowe i wydać zapracowane pieniądze. Ale tu? Ot Pani przyczepia się do byle czego, aby mieć sposobność do łajania i pokazania co to ona jest wobec dzieci.

Józik nie był psotny i świadomie nie wyrządziłby nigdy nikomu najmniejszej przykrości, miał tylko takie niespokojne palce, które ciągle musiały coś dotykać, ruszać, majstrować, a co za tem idzie — psuć i niszczyć.

Podczas języka polskiego Józik w dalszym ciągu „rzeźbił" ławkę i zauważył, że Pani kilkakrotnie patrzyła w jego stronę, nie robiąc mu żadnej uwagi.

Potem była pogadanka. Dzieci niezmiernie lubiły te pogawędki z Panią, podczas których zdobywały wiele nowych wiadomości i mogły swobodnie wypowiadać swe spostrzeżenia i myśli.

Dnia tego Pani opowiadała o różnych wielkich miastach, należących do różnych narodów.

— A czyja jest Warszawa? — zapytała Pani.

— Polaków — brzmiała chóralna odpowiedź.

—Doskonale. A teraz Józio powie nam, czyja jest szkoła?

Chłopiec zaskoczony tem pytaniem, podniósł się ze swego miejsca, spojrzał na nauczycielkę, potem rozejrzał się po klasie, szukając pomocy u kolegów.

Lecz dzieci, niepewne swych pojęć w tej kwestii, milczały.

Pani powtórzyła pytanie, na które nikt nie odpowiedział.

— Widzę, że nigdy nie zastanawialiście się nad tem i dlatego tylko nie umiecie znaleźć właściwej odpowiedzi, więc posłuchajcie: Szkoła ta jest wasza i moja, gdyż my obecnie z niej korzystamy; potem, gdy wyrośniecie i opuścicie ją, należeć ona będzie do waszego młodszego rodzeństwa i do tych wszystkich dzieci, które po nich tu uczyć się przyjdą.

Dlatego więc trzeba szanować szkołę, trzeba oszczędzać wszystko, co się w niej znajduje, by mogła jaknajdłużej służyć dzieciom, które wasze zajmą tu miejsca. Kto niszczy naumyślnie sprzęty szkolne, ten krzywdzi inne dzieci, bo przecież zniszczone i niezdatne do użytku meble i pomoce szkolne muszą być zastąpione nowemi, a kupić je trzeba za pieniądze, przeznaczone na inne potrzeby dzieci. Jeżeli więc okaże się, że trzeba będzie wydać dużo na kupno nowych ławek, może zabraknąć środków na wysłanie na kolonje letnie bladych, wątłych dzieci, które nigdy jeszcze nie widziały ani wsi, ani lasu.

Dzieci słuchały z przejęciem, gdyż Pani rozwinęła przed nimi myśl, która dotychczas nigdy nie przychodziła im do głowy.

Józikowi zaś zrobiło się niewypowiedzianie przykro; nie przypuszczał, by jego brzydkie przyzwyczajenie mogło mieć tak poważne skutki. A tu akurat wczoraj mówiła mama, że jedna z sąsiadek skarżyła się, że już drugie lato nie może wysłać dzieci na wieś, bo na kolonjach brak miejsca i funduszy.

Patrzył na pokrojony, zniszczony, obdrapany pulpit i czuł głuchy wyrzut sumienia.

Do końca lekcji nie dotknął się do scyzoryka, a bojąc się pokusy, zamknął go na klucz w piórniku.

Markotny i niezadowolony z siebie, powrócił do domu. Nie mógł doczekać się powrotu ojca i nie wiedział jak skrócić nieznośne chwile oczekiwania. Nareszcie ojciec powrócił i rodzina zabrała się do jedzenia. Po kolacji Józik kręcił się koło ojca, zagadywał, nie wiedział jak za-

cząć, wreszcie opowiedział rozmowę z Panią i swoje zmartwienie.

Ojciec miał w domu niektóre narzędzia stolarskie, więc długo tłumaczył synowi jak niemi posługiwać się należy i.t.p.

Nazajutrz Józik, prócz teczki, przyniósł do szkoły dużą paczkę, zawiniętą w gruby papier i związaną sznurkiem. Podczas lekcji Józik był wyjątkowo uważny i grzeczny, a gdy dzieci zaczynały się rozchodzić, poszedł do Pani i rzekł:

— Proszę Pani, czy mógłbym pozostać trochę w klasie?

— Dobrze, moje dziecko, powiem woźnej, że pozwoliłam ci pozostać dłużej, ale nie marudź zbytnio, by dać jej dość czasu na sprzątnięcie klasy.

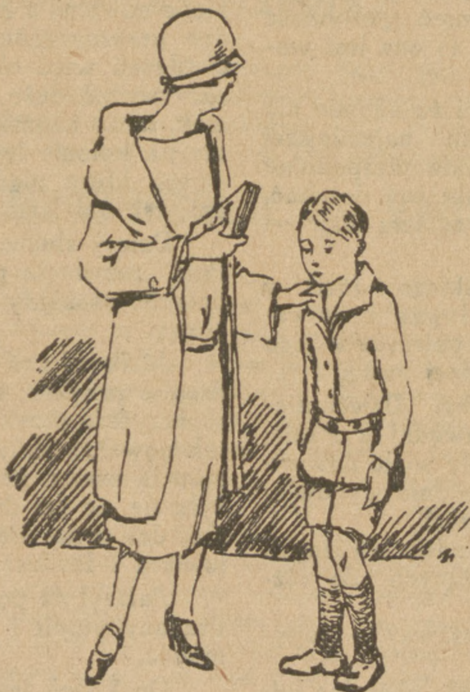
Po wyjściu Pani Józik zabrał się do roboty i stosując się do wskazówek ojca, zręcznie i szybko naprawił zrobioną przez siebie szkodę, a nawet pociągnął olejną farbą pulpit swego kolegi i sąsiada Olka.

Na drugi dzień dzieci nadziwić się nie mogły, jakim sposobem odrapana i porznięta ławka Józika nabrała wyglądu zupełnie nowej, jakby dopiero przyniesionej ze składu mebli. Pani tylko nic nie widziała i zdawała się nie słyszeć okrzyków zdziwienia i podziwu dzieci.

A gdy skończyły się lekcje, tak się jakoś złożyło, że Pani widocznie niebardzo spieszyła się do domu, a Józik marudził przy pakowaniu książek, dość. że obydwoje znaleźli się sami w pustej już klasie.

Pani podeszła do ławki, spojrzała w oczy Józika i wyciągnęła do niego rękę. A gdy chłopiec pochylił się nad jej ręką, objęła głowę jego ramieniem i, nie mówiąc ani słowa, serdecznie pocałowała go w czoło.

A. P. G.



Adres redakcji i administracji: Robotnicze Towarzystwo Przyjaciół Dzieci.
Warszawa, ul. Czerwonego Krzyża 20. Tel. 274-55.
Redaktorka przyjmuje w poniedziałki, i czwartki od 5—7.